

„OPERA MUSI“...

Jest taki monolog — zdaje się Wyrwicza — w którym się ciągle powtarzają te słowa. Zasadniczo nie lubię monologów, bo nie mogę znieść, aby jeden człowiek gadał przez dwie godziny, a mnie nie wolno było nawet słówka wtrącić. Ale ten monolog z operą utkwiał mi w pamięci. I wogóle, odkąd do licznych innych bałaganów przyłączył się u nas bałagan operowy, czytam wciąż we wszystkich dziennikach, że opera musi być.

Więc jedni krzyczą wielkim głosem, że kulturalny naród nie może żyć bez opery, a inni odpowiadają na to: „no tak ale kiedy opera była, to nikt z was nie chciał chodzić. Komplet był tylko bileterów, a jeśli się pojawił jakiś gość na widowni to wołano pogotowie ratunkowe bo myślano, że warjat“.

To wszystko prawda. Ludzie rozpalają się do białości na koncercie Ady Sari, Kiepurze wyprzegają 40 koni z samochodu, siedzą godzinami przy radju, gdy śpiewa Tito Schipa i kupują drogie płyty z Carusem. A na opery nie chcą chodzić. Więc ta biedna opera była deficytowa i nie mogła nic nowego wystawiać tylko wciąż tę oklepaną i oklapniętą Żydówkę (i możnaż tu mówić o antysemityzmie w Polsce?) albo nieszczęsną Violettę-Traviatę, umierającą na suchoty przy stu kilach żywej wagi. Straszne rzeczy działy się u nas z tą operą.

W czasach kiedy skończywszy z Karolem Mayem i Dumasem ojcem zabrałam się do czytania Dumasa syna, fascynowała mnie szczególnie pewna postać: wicehrabia. Ten wicehrabia miał na imię Gaston lub Oktawjusz, posiadał zabójczy, malutki wąsik i zaczynał każde przemówienie od „ha“. Najczęściej mówił następujące zdanie:

— Ha, nędzniku, uwiodłeś mi żonę!

Po takim wstępie wicehrabia stosował Lex Bozewicz i wyzywał nędznika na pistolety lub szpady. Ponieważ wicehrabia był świetnym strzelcem i szermierzem więc kładł przeciwnika trupem. Wtedy wicehrabina (ta uwiedziona przez nieboszczyka) kładła się na kanapę i umierała z miłości. Zdumiewał mnie zawsze fakt, że dzisiejsze kobiety nigdy nie umierają z miłości! dawniej było to na porządku dziennym. Taka zła przemiana materji sercowej...

Otóż opera przypomina mi zupełnie wicehrabinę: umiera z miłości a nikt nie chce na to patrzeć! Bo opera, jak i wicehrabina jest niewspółczesna.

Nie może tu być oczywiście mowy o muzyce. Muzyka jest wieczną tak jak wiecznym jest teatr Szekspira i jego dramaty ludzkich namiętności. Hamlet będzie nam zawsze bliskim, czy go będzie grał aktor w tuzurku, czy też w trykotach. I obojętnem jest, czy duch ojca Hamleta mieszka w zapadni teatralnej, czy też w mózgu królewicza duńskiego i coby na to wszystko powiedział Freud.

I jakżeż nie rozumieć ślicznej Desdemony, która się zakochała w czarnym pułkowniku armji weneckiej, kiedy się zważy, jaką popularnością cieszą się dzisiaj u kobiet murzyni. A cóż dopiero pułkownicy. Wyobra-

zić sobie tylko takiego Otella w „Oazie“, lub w „Adrii“. Cóż za powodzenie.

Tak, rozumiemy uczucia słodkiej Desdemony i płaczemy rzewnie nad jej smutnym losem. Ale czy państwo widzieli kiedy operę „Otello“? Na tej już nikt nie płacze!

Otella gra dobrze odżywiony tenor, który z powodu trudnej partii głosowej poci się niemilosierdzie. Skutkiem tego z każdym aktem staje się jaśniejszy. Prostu obłazi. W ostatnim akcie jest już białym murzynem. I wtedy morduje Desdemonę.

Ona biedactwo, także baba, jak kloc, kładzie się spać nie przeczuwając nic złego. Kładzie się jednak do łóżka zupełnie ubrana i w pończochach. Boi się, aby jej głosu nie zawiało... Wtedy wchodzi do małżeńskiej sypialni Otello i zaczyna ją dusić! A ona najwyższym sopranem śpiewa: „Jestem niewinna“!

Żebyż ją chociaż pchnął sztyletem, lub zadał jej truciznę! Nie! On ściska ją za gardło a ona wciąż wyśpiewuje to wysokie „C“. Widz ma poprostu ochotę zawołać:

— Stul głę babo i daj się przyzwójcie zamordować!

Ale to nic nie pomoże! Ona jeszcze po śmierci wyjdzie przed rampę się uklonić. Nie zostawi nam najmniejszego złudzenia.

Opera jest wogóle jedynem jeszcze widowiskiem, gdzie za swoje pieniądze można zobaczyć maksimum trupów. Gdybyż nie chciały ożywać za każdym okłaskiem!

Pamiętam takie jedno przedstawienie Toski. Toska jest bodaj, czy nie najlepszym dramatem Wiktoryna

Sardou, więc daje ciekawe libretto, a artystka grająca piękną śpiewaczkę była wyjątkowo smukła i młoda. Toteż wszyscy siedzieliśmy pod wrażeniem, kiedy przy końcu drugiego aktu, Toska zabiwszy Scarpia, ustawia przy nim dwa płonące kandelabry, składa mu ręce na piersiach i ucieka. Po burzy oklasków podnoszą szybko kurtynę i widzimy zamordowanego Scarpia... gaszącego świece i odnoszącego kandelabry na miejsce. Szczególna pedanterja, jak na nieboszczyka. Pewien Francuz, który był na tym spektaklu powiedział do mnie z uśmiechem „Les morts vont vite“! Tak, umarli szybko jadą. Ale umarli opery nie mogą jednak nadążyć za tempem życia dzisiejszego. To stwarza taki rozdzźwięk między nami a operą.

Kochamy kino, ponieważ daje nam iluzję. Kochamy teatr, bo jest najbliższy rzeczywistości. Nie jesteśmy w stanie kochać opery, bo tworzy coś pośredniego pomiędzy popisem szkoły śpiewu a gabinetem figur woskowych. To musi się zmienić.

Opera nie jest współczesna. Oczywiście nikt nie wymaga, ażeby Rhadames pytał swojej Aidy: „Czy pani w bridża gra, czy pani kartę ma?“ lub, żeby Łucja z Lamermooru tańczyła slow-foxa. Broń Boże! Ale ktoś jest w stanie dziś słuchać, jak chór mniej lub więcej obdartych statystów powtarza przez pół godziny:

— Co mu złamała? co mu złamała? co mu złamała?

Aż wreszcie czcigodny starzec z przyprawioną brodą i naturalnym basem wyjaśnia: Wiaremu złamała!

Opera nie jest współczesna. Opera zamiera z braku dobrej reżyserji. Czeka wciąż na swego Stanisławskiego, czy Reinhardta.

Kochamy muzykę. Będziemy w dalszym ciągu sza-

leć z entuzjazmu na koncertach słuchać radja i kupować płyty z Carusem. Ale jeśli chodzi o operę to żądamy dla niej umiejętnej reżyserji. Żądamy rewizji idjotycznych, półwiekowych librettów. Niech w niej coś będzie z „comedii del'arte“, jak w Cyruliku Sewilskim. Niechaj kotary zastąpią beznadziejny blichtr sal tronowych. Ach, te Wartburgi i Graalsburgi z prasowanej czekolady! I ten labędź z tektury w którego tak trudno uwierzyć, jak w bociana! Widz nie słucha muzyki, bo musi wciąż myśleć co się stanie, jeśli maszynierja się zatnie i labędź wogóle nie przyjedzie, albo zapomni się zatrzymać?

Współczesny teatr stoi dziś niemal wyłącznie reżyserją. Dba się w nim o wszystkie szczegóły. Lordowie zebrani u lady Windermere nie dlubią już w nosie a meble empirowe nie zdobią średniowiecznych zamczysk.

Film roztacza dokoła prawdziwe cuda reżyserji. Być może, że kiedyś kino dźwiękowe potrafi wystawić opery Wagnerowskie z całym ich barbarzyńskim przepychem legendy. Ale zanim to nastąpi (a może lepiej, jeśli nie nastąpi?) należy ożywić operę zastrzykiem współczesności. Trzeba jej dyrygenta, nietylko przy pulpicie z nutami.

Opera musi... Tak opera musi się zmienić!